Tom V. Nr. 6.

21. Sierpnia. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ZYGMUNT TRZECI, KRÓL POLSKI.

II. Dalsze sprawy.

Wkrótce nie mało było biedy w kraju z królem Zygmuntem. Bo to nie podobało mu się, że w Polsce tyle wolności, że nie może sobie rządzić i rozkazywać jak jemu się zechce, ale musi praw słuchać; zniechęcił się więc prędko, i niebawem przyszło do niezgód między nim i narodem. Przyczyną do tych swarów było też i to, że Zygmunt umyślił pojąć za żonę Annę księżniczkę rakuzką, siostrę cesarza niemieckiego, a naród na to nie chciał się zgodzić, obawiając się Niemki na tronie, jako że taka łatwo ci może narobić siła biedy, że ani się spostrzeżesz.

Trzeba wam zaś wiedzieć, że król w Polsce wstępując na tron zaprzysięgał i to, wraz z wielu innemi prawami narodu, że nie ożeni się bez jego zezwolenia. Nie zważał jednak na to król Zygmunt i pojął za żonę Annę z Rakuz, ale co gorsza, zaczął z jej bratem arcyksięciem rakuzkim wchodzić w tajne umowy, w których układali się, iż Zygmunt odstąpi tron polski Niemcom, sam zaś na szwedzkim poprzestanie, wymawiając sobie za to niektóre takie rzeczy u cesarza niemieckiego, co były z ko-

rzyścią nie dla Polski, jeno dla szwedzkiej krainy. Owóż te umowy i listy tajne zostały wykryte, a naród oburzył się mocno, że król, którego wolnie obrał a przeniósł nad innych współzawodników i powierzył się jego opiece, chce teraz ni ztąd ni zowąd przerzucać się jak piłka, oddając za lada co komu innemu zwierzchnictwo i pieczę nad zacnym i wolnym narodem.

Nastąpił tedy w r. 1592 sejm, który nazwano *inkwizycyjnym*, co znaczy badawczym, bo naród badał na nim króla i wyrzucał mu jego winę. Nie jedną tam prawdę ostrą usłyszał król Zygmunt, i musiał się uniewinniać, tłumaczyć, a wreście dał zapewnienie, że niechno tylko o tem co się stało zapomną, to on nadal prawom sprzeciwiać się, ani też tronu komukolwiek ustępywać nie będzie.

Aleć trafiło się, iż w tymże roku umarł ojciec Zygmunta, Jan król szwedzki, i Zygmunt pojechał do Szwecyi, by się tam ukoronować. Trzeba wam wiedzieć, że wstępując na tron przyrzekł Zygmunt oddać Polsce kawałek szwedzkich posiadłości zwący się *Estonją*, co dawniej do naszej ziemi należał; jednakże tego przyrzeczenia dotąd nie był dotrzymał, a ilekroć się naród upominał, to obiecywał i obiecywał, aleć jak zwykle *obiecanka cacanka a głupiemu radość*, bo ojciec na to póki żył nie pozwalał. Więc teraz skoro już ojciec pomarł, nie miał Zygmunt żadnej przeszkody, a przecież Estonji nie oddał Polsce. W Szwecyi zaś tak sobie nierozsądnie postępywał, że Szwedzi go od razu znielubili; toż zdał tam wnet rządy na swego stryja, a sam wrócił do Polski. Aleć stryj ów widząc jak Szwedzi nie lubią Zygmunta, pomyślał, że on sam mógł by tam być królem; i tak ich pokłócił z Zygmuntem, że oni sobie go nareście obrzydzili i słuchać nie chcieli, a stryja na króla szwedzkiego ukoronowali.

Zygmunt gniewał się na to i sierdził, i wyprawiał się do Szwecyi, lecz został tam pobity. Chciał więc koniecznie, aby teraz Polacy za niego bili się ze Szwedami, wydając im wojnę: ale Polska, dbała o swoje dzieci, nie chciała szafować dla lada czego ich krwią i zdrowiem, i wojny Szwecyi nie wydała.

Wyobraźcie więc sobie co król robi: teraz kiedy już nie miał Estonji, oświadcza się z tem, że on ją Polakom oddaje, i

nakazuje pewnemu dzielnemu rycerzowi, który był wojewodą w Inflantach, aby do Estonji wpadł i zagarnął ją. Wojewoda usłuchał króla, ale źle się stało, bo tym sposobem król Zygmunt więcej dbały o drugie dla siebie państwo, niż o dobro polskiego narodu, wciągnął nas w wojnę ze Szwecyą, ponieważ Szwed gniewny za napad na Estonję, najechał zaraz Inflanty. Wtedy to Jan Zamojski ów wielki hetman, o którym już wiecie, musiał choć bardzo już stary, iść z wojskiem polskiem bronić Inflant. Walczył on tam mężnie, odebrał Szwedom kilka miast, które byli zabrali, ale wkrótce zaczęły mu dokuczać rany odebrane w boju, i wiek podeszły; i z tem też miał biedę, że król zwyczajnie jako obcy z rodu, nie wiele dbał o to, żeby wojsko nie cierpiało głodu, i nie dosyłał mu pieniędzy. Wtedy to poczciwy Zamojski pożałował żołnierzy, którzy z nim razem się bili, i mając bardzo dużo srebrnych naczyń przeróżnych jako wielki pan, wszystkie te swoje srebra oddał na potrzeby wojska. Ten wnet jako już bardzo starością znękany, zdał dowództwo Karolowi Chodkiewiczowi, który po nim został hetmanem, i wrócił do Polski, gdzie mu na sejmie naród dziękował za jego wszystkie wysługi dla miłej ojczyzny.

Karol Chodkiewicz tymczasem znalazł się w Inflantach w wielkim kłopocie: miał tylko półczwarta tysiąca wojaków swoich, a tu król szwedzki napadł na niego z ośmnastą tysiącami tęgiego żołnierza.

Było to pod miastem, które nazywają tam Kircholmem, w r. 1604. Chodkiewicz nie zważał wcale, że naszych mało a tamtych dużo, bo wiedział, że człek strzela a Pan Bóg kule nosi, i jak Władca niebieski zechce, to słaby pokona mocnego, jak niegdyś Dawid Goliata. Otoż wezwawszy Boga w pomoc, uderzył na Szwedów, i tak mu też Bóg szczęścił, że ich pobił ogromnie. Dziewięć tysięcy Szwedów zostało trupem na miejscu bitwy, więc przeszło dwa razy tyle ich poległo, niż było polskich wojaków. Toż po tej bitwie schował się Szwed do nory, i nie śmiał już tak bardzo dokuczać Polsce, której Bóg jawnie pomagał przeciw nieprzyjaciołom, ile razy w Nim zaufała.

Co Jaś Zosi opowiadał

o bitwie pod Dubienką.

Płynie Wisła jak śpiąca,
A nad Wisłą zagroda
Cicha, biała, nie duża;
A Zosieńce, choć młoda,
Blednie liczko choć róża,
I łza płynie gorąca.

Klękła w chacie na progu,
I we Wiśle wzrok topi,
I tak skarży się Bogu:
— Gdy Jaś jechał z panami,
Siałam grzędą konopie;
Dziś już płótno z konopi,
I już drugie we snopie..
O mój Boże, mój Boże
Zlituj że się nad nami!
Toć o Jasiu ni słychu,
Ani brata w komorze,
Ani pana we dworze,
A coś wabi do grzechu,
Coś tak wabi do rzeki...
Chce się zasnąć na wieki.

I znów ciche łzy leje,
I modlitwą się grzeje,
I nadzieją się śmieje.

— O mój Boże, mój Boże,
Ani brata w komorze,
Ani pana we dworze,
A mój Janek nie ze mną,
Chyba we śnie w noc ciemną..
O mój Boże, mój Boże
Zmiłuj-że się nademną!

A po Wiśle w tej chwili,
Czy jaskółka czy ryba,
Coś się pluska i pluska,
Łozinami przechyba,
I ugina traw kłóska,
Aż się samo wychyli:
A toć łódka jak rybka,
Ledziuteńka i chybka,
Niby płynie nie płynie,
A w niej jakby w łupinie
Nie rybaki, rybaki,
Dwa w mundurach wojaki.

Plusło w łozach, przybiło,
I usiadło jak ptaszek,
I dwóch na brzeg skoczyło:
Jaś kochanek, brat Staszek,
Łódź na Wisłę się prosi,
A ci obaj przy Zosi.

— Mój gołąbku kochany,
Moja Zosiu niebogo,
Niosę w piersiach trzy rany,
Ale w sercu mi błogo:
Bo na polach Dubienki
Moskal legnął jak zboże;
Więc się pomódl w pokorze
Do najświętszej Panienki,
I do pana Jezusa,
Żeśmy Moskwę pobili,
Żeśmy cało wrócili
I że tęga w nas dusza.

Pan Kościuszko przywodził:
Mój ty Boże, to żołnierz!
Co mu kabat złocisty?
Jeneralski co kołnierz?
Na Krakusa się zrodził,
W złocie nigdy nie chodził,
Toć też zato człek czysty,
Toć też serce jak djament,

A ta polska w nim dusza
Widzisz w oczach się rusza!

Wielki Moskwie był lament,
Choć wywieźli armaty,
Choć się długo bronili,
Choć strzelali psubraty;
Bo to kosa fundament!
Więceśmy ich zdławili,
Tak, że białe dziś kości
Trawę gryzą z radości!
Moja Zosiu niebogo,
A nie będziesz mi krzywa,
Że ja tylko trzech zabił?
Trzech Moskali, ubogo!
Czwarty szedł mi do żywa,
Z nóg powalił, osłabił,
Piersi piką rozwalił,
Lecz Stach resztę ocalił.

Hej niechno tu Kościuszko...
Jeszcze raz ich przetrzepię!
Lecz się pierwej pokrzepię...
Czy przy tobie serduszko?

———

Zosia, duszka, gołąbek,
Cichła, bladła, płakała,
A przy końcu skraśniała
Jak w jesieni jarząbek.
Wzięła Janka za rękę,
Razem poszli pod Mękę;
Razem się tam modlili,
Potem cicho mówili,
Potem poszli do chaty,
Gdzie pan ojciec bogaty,
Potem prało się, szyło,
Potem piekło, warzyło —
Trzy niedziele, nie wiele...
W końcu było wesele.
A brat Staszek szedł dalej
Rąbać panów Moskali.

Grześ z Mogiły.

KASPER KARLIŃSKI.

Opowiem wam historję z owego czasu, gdzie Niemcy swojego księcia Maksymiliana na tron polski prowadzili. Trudnoć bo trudno go było doprowadzić niebożętom, jako że Polacy jak świat światem nigdy się o Niemców nie kusili; aleć owi spróbowali przecie czy im się nie uda, począwszy od napadu na krakowską ziemię. Jak długo się to na pytaniach i prośbach kończyło, tak długo śmiał się z nich pan Zamojski i najwięcej palcem w bucie groził; lecz skoro owym na prawdę panować się zachciało i z halebardami w ręku ruszyli na Królestwo: tak nasi skropili ich, bo skropili co się zowie uczciwie, a potem fora z domu, wykurzyli na cztery wiatry, samego księcia złapawszy. No, alеć o tem wszystkiem wiecie; jeno nie wiecie, jak się przy tej okazyi pan Kasper Karliński spisał, który naonczas załogą dowodził w obronnym zamku *Olsztynie.* Jeśli łaska, posłuchajcie.

Było to zimową porą; pan Karliński chodził smutny po zamkowych izbach, bo mu przyszło pochować ukochaną żonę, wierną towarzyszkę życia. Tydzień już od pogrzebu, a panu Kasprowi brzęczą jeszcze w uszach dzwony pogrzebowe, przed oczami stoi mu jeszcze czarna trumna z białym krzyżem i konie w czarne chusty odziane.

— Boże mój Boże! ciężkoś mię zasmucił — rzekł wreszcie sam do siebie biedny pan Karliński, stanąwszy przed oknem. — Zakrwawione moje serce stratą najdroższej mi niewiasty, z którą tyle lat w zgodzie i miłości żyłem, a w niczem pociechy znaleźć nie mogę, bo oto świeży już smutek rośnie z niedoli Polski, tej drogiej matki ojczyzny, którą Niemcy napadli i pustoszą.

I wytężył pan Kasper wzrok przed siebie, i patrzył, patrzył ze smętnem obliczem, jak tam zkądeś od zachodu łóna pożarowa bije. Więc uderzył pięścią o ramę od okna aż szyby zabrzęczały, i dodał głośno:

— Ale odkrwawię ja bolesne serce na skórach tych Niemców, skoro się tylko zjawią. Ani nogi nie wypuszczę cało!

W tej chwili zaleciało dziecięce płakanie od przyległej komnaty. Był to głos maleńkiego syna pana Karlińskiego. Potarł biedny ojciec na świeżo zaturbowane swe czoło, bo mu przyszło na myśl: co to będzie z tem biednem dzieciątkiem, jak się ono bez matczynej wychowa opieki?

— A jak Niemcy na zamek napadną? — pomyślał pan Kasper trwożliwie — gotowi wydrzeć mi skarb ostatni, ostatnie moje kochanie i nadzieje razem z niebożątkiem. Dosyć siedmiu synów, co zginęli dla świętej ojczyzny; ósmego chciałbym już ja przeżyć!

I wyszedł frasobliwy ojciec do przyległej izby, kędy stała kolebka z dzieciątkiem, a wiejska kobieta schylała się nad niem, cichą nutą tuląc płacz maleństwa.

Pan Karliński stał chwilę, a spoglądając to na dziecko to na kobietę, snać ważył coś w głowie:

— Moja Zofijo — rzekł wreszcie do piastunki — Niemcy nadciągają w tę stronę, i jużci napadną na zamek, chcąc go dobyć. Jest to w Bożej mocy, czy nam się ten Najwyższy obronić dozwoli, czy też nas odda w ręce Niemców. Bronić się bę-

dziemy do ostatka, a jak im się zamek zdobyć uda, to pewnie nikogo żywcem ztąd nie puszczą. Toż i moje dzieciątko może być w niebezpieczeństwie; więc weź je lepiej Zofijo na wieś do swojej chaty, boć Niemcy nie będą was tam przecie ani wyganiać ni mordować jak pogany Tatary. Karm to maleństwo swoją piersią, bądź mu matką, i strzeż jak oka w głowie do skończenia wojny.

Zofija pomyślała chwilę, pytała i radziła się o to i owo, i tak rozmawiali jeszcze chwilę, poczem pan Kasper ucałował w rumiane liczko małą dziecinę, żegnając je wraz z piastunką.

Tymczasem wiódł książę austryacki wojsko swoje w głąb krakowskiej ziemi, i jeszcze tego samego dnia oparł się o Olsztyn. Na murach zamku stała już załoga gotowa do obrony, a gdy Niemcy zbliżyli się pod wały, huknęły ukryte w basztach armaty, a za każdym strzałem kładły się pomostem szeregi nieprzyjaciół. Rozbiegło się więc czemprędzej owo bractwo, nie smakując w takiem przywitaniu, i gotowało się z innej strony całą siłą uderzyć. Ale darmo! Pan Karliński ze swoimi psem w oczy im się sadzi, i z której strony Niemcy chcą go tylko uderzyć, to on ich tak parzy po łapie, że co chwila zmykają jak oparzeni.

Schodzą się niemieccy dowódzcy, i radzą, radzą jak tu zdobyć Olsztyn? Przemocą nie można gdyż są silni, zdradą jeszcze gorzej gdyż wierni swojej Polsce. Więc łamią sobie głowy i łamią, bo im wstydno odchodzić z kwitkiem, dostawszy po skórze. Wtem wchodzi żołnierz do jeneralskiego namiotu i rozpowiada, iż złapali jakąś kobietę z dzieckiem, o którem ona mówi, że to syn dowódzcy zamku.

— Zastrzelić jak psów! — zawołał jeden z jenerałów, któremu najbardziej nie szła w smak twarda obrona zamku. Żołnierz chciał już wyjść i spełnić rozkaz, gdy drugi z dowódzców zatrzymał go nagle, śmiejąc się z zadowoleniem do siebie.

— Stój! — zawołał — ja mam myśl doskonałą!

Wszyscy otoczyli go ciekawie.

— Co, jak, mów!!!

— Mamy dziś ostatni raz szturmować do zamku, a ja wątpię czy nam się to uda. Tak jak w przeszłych razach przepa-

dniemy, jeżeli nie zrobimy tego co poradzę. Oto weźmy kobietę z dzieckiem Karlińskiego i prowadźmy ją przed pierwszym szeregiem szturmujących; jużci do własnego dziecka ten Polak przeklęty strzelać nie pozwoli, a tak nasi dostaną się bez szkody aż pod same mury.

— Wybornie, doskonale! — zawołali inni, a uściskawszy dowcipnego doradzcę, jęli zbierać wojsko do ostatniego szturmu.

Odezwały się bębny i trąby, a szeregi wychodziły z namiotów jak z pod ziemi; błyszczały pałasze i halebardy, ale nie błyszczało nic radości na twarzach panów Niemców, owszem smutek i zmęczenie pochylały ich żołnierskie postacie, a strach wyłupiał oczy jak cebule na wierzch. Boć to nie fraszka iść jeszcze raz w ogień, skoro już kilka razy sparzyło.

Aleć przecie ten i ów prostuje się nabierając odwagi, bo dowódzcy chodzą między swoich i wskazują palcem na pierwszy szereg wojska.

— Toć do syna nie strzeli! — mówi sobie ten i ów, i odwaga wstępuje w tchórzowskie ich dusze.

A tam pierwszy szereg pędzi Zofiję jak bydle przed sobą. Ręce sznurami skrępowane i dziecię przywiązane do niej. Biedna kobieta na pół umarła z przerażenia i bojaźni; nogi drżą pod nią, kroku stąpić nie może, lecz żołnierze wiodą ją na sznurach, szturkają i popychają naprzód.

Chwila uderzenia już się zbliżała; Niemcy podchodzili pod wały, a na zamku przyłożył puszkarz twarz do armaty i celuje w podchodzących nieprzyjaciół. Karliński krząta się naokoło, wydaje rozkazy, i kupi swoich w miejscach co najsłabsze, a gdzie się napadu spodziewa.

Puszkarz celujący zbladł nagle i skoczył od armaty:

— Panie! — zawołał zwracając się do Karlińskiego — tam Niemcy pędzą przed sobą Zofiję i.... z pańskiem dzieckiem na rękach.

Pan Kasper pobiegł na te słowa i ostrym wzrokiem spojrzał na szeregi.

— Prawda... Zofija i syn mój... ostatni — mruczał sobie przez chwilę, a oczy mu się zaświeciły, niewiedzieć złością czy łzami. Niemcy szli coraz spieszniej i coraz bardziej zbliżali się

pod zamek, a Karliński stał, czerwieniał, czerwieniał na twarzy, wreszcie podniósł rękę do góry i krzyknął strasznym głosem:

— Pal!

Puszkarz stał drżący i blady, i trzymał lont zapalony w ręce, lecz go nie przykładał. Więc Karliński poskoczył i wydarł mu lont z ręki.

— Strach cię ogarnął? — zawołał głośno. — Pierwej ja byłem Polakiem jak ojcem! — i z temi słowami przyłożył lont do panewki... zabłysło, dymu kłąb wyleciał i jęk strzału rozległ się w powietrzu... Po chwili gdy się rozrzedził kłąb dymu, nic nie było widać tylko kupkę trupów i uciekających Niemców, a na murach stał pan Kasper z ponurem obliczem, trzymając czarny lont w zmartwiałej ręce.

Kilku z żołnierzy zgromadziło się obok nieszczęśliwego ojca.

— Gdzie dziecko z piastunką? — zapytał któryś z nich półgłosem.

— Nie żyje! — odrzekł Karliński, lont wypadł mu z ręki, a sam osłabiony pochylił się na ramiona towarzyszy.

Niemców nie było już prawie pod zamkiem. Na pierwszy strzał rozpierzchnęli się jak stado trwożliwych kaczek z krzykiem i lamentami, i po tej ostatniej próbie nie wrócili już więcej.

Pana Kaspra zawiedziono do zamkowych komnat. Blady był jak mur i milczący, a łzy gorące toczyły mu się niby groch po twarzy. Nie krzyczał ani złorzeczył woli Bożej; skinieniem ręki oddalił dworzan od siebie, a skoro sam już był w izbie, jeno w obecności Najwyższego Stwórcy, wówczas upadł na kolana przed cudownym Jezusa wizerunkiem, i skarżył mu się z swoją boleścią, i tonął cały w cichej modlitwie.

Na dole w rycerskich izbach odpoczywali żołnierze po trudach obrony, ale choć Niemiec daleko już był od zamku, i nawet chmur śniegu na nim już nie widno: przecież nie wielka uciecha błyszczy na twarzach zwycięzców. Ten i ów podparł ręką zafrasowaną głowę, a inni ocierają czasem wilgotne oczy kitami od czapek.

— Ej, jak mi Bóg miły — zawołał jeden z żołnierzy — wolałem był sam zginąć niż doczekać się takiego smutku na-

szego komen danta! Zbił człowiek Niemców na kwaśne jabłko, a i tak mu nie radośnie.

— Prawdę mówicie Wojciechu! — zawołał inny. — I mnie jakaś taka wściekłość porwała, skorom tylko ujrzał dziecko naszego dowódzcy na czele niemieckich szeregów, że byłbym wyskoczył i bił i rznął tych drabów aż do ostatniej kropli krwi.

— Bo też trzeba na to podłych tchórzów i nie chrześcianów, żeby się biednem niemowlątkiem i jedną niewiastą zasłaniać — rzekł westchnąwszy Wojciech, a potem zacisnął pięść i uderzył nią po krzywej szabli.

Między żołnierzami siedział stary i siwy już wojak. Na stole przed nim stał miód żółty w cynowym gąsiorku; od czasu do czasu maczał usta w orzeźwiającym napoju, przysłuchując się uważnie prowadzonej między druhami rozmowie. Wreszcie wstał, otarł usta, a uderzywszy w stół ręką tak zawoła:

— Co płaczecie i skarzycie! Płacz i skarga, to chleb nie rycerski! Bolić i mnie, a może więcej niż was wszystkich ten smutny wypadek, bo znam pana Kaspra od maleńkości, a siedmiu synów jego uczyłem na koniu jeździć i szablą wywijać. A otoż podobało się panu Bogu wszystkich siedmiu zabrać do siebie w czasie krwawych wojen; wszyscy zginęli odważnie i po rycersku, jak prawi synowie tej polskiej Ojczyzny! Dziś zginął ósmy syn, ostatnia pana Kaspra pociecha, a ja przecież nie płaczę ani skarzę, lecz dziękuję Bogu. I wy moi druhowie dziękujcie wraz ze mną panu Bogu, że nam daje takich wielkich i świętych ludzi, co nie tylko sami zginąć, bo to fraszka, ale i ostatniego potomka dla dobra tej miłej Polski na śmierć oddać potrafią. Nic nam wróg nie zrobi, nie zdławi nas pewnie, jak tylko podobnych Kasprowi ludzi będą rodzić nasze matki! Dziękujcież więc Bogu i westchnijcie do Niego za biednym komendantem, chyba o tyle, żeby ten Pan Niebieski zesłał spokój święty na jego duszę, a chwała niech będzie naszej matce Polsce! —

— Chwała naszej Polsce! — rzekli jedni.

— Prawdę świętą mówi — mruknęli inni.

A co starsi pozdejmowali kołpaki i żegnali się krzyżem świętym, i odmawiali modlitwę za spokojem duszy swego dowódzcy kochanego, i za dobrą przyszłością jedynej ojczyzny.

Cicho się zrobiło w rycerskich izbach, a w górze w zamkowej komnacie wstał właśnie z klęczków pan Karliński, i tęsknym ale czystym wzrokiem, jakby jeden z owych Świętych Pańskich, co dziecięta swoje na rzeź wydawali, patrzał przez wysokie okna na bielejące się pola i lasy, i był spokojny w duszy, bo dopełnił świętego obowiązku miłości ojczyzny.

Opowiadał: *Grześ z Mogiły.*

Rady gospodarskie.

O chowaniu ziemniaków na zimę.

Dzięki Panu Jezusowi i Panience Najświętszej, która naszą ziemię Polską w szczególnej ma opiece, nie słychać dziś z żadnej strony, żeby się ziemniaczki psuły. Przeszłego roku słabowały nam one trochę, ale tego roku jeden w drugi samo zdrowie, a do tego wielkie i smaczne. Nie sztukać to wykopać, nie sztuka też i jeść, zwłaszcza jeśli masz sól, a trafi się i okrasa; ale skoro zjeść od razu nie można, to sztuka jest przechować ziemniaczki tak przez zimę, coby się nie popsuły. Pisałem ja wam już o tem, rok temu prawie będzie, podawałem wam jedno i drugie, choć nie wszystko dobre; ale widząc jak wy sobie w tem ciągle źle radzicie, pomyślałem, że to nie zaszkodzi opisać wam jeszcze raz szeroko, jak to ziemniaczki przez zimę przechowywać należy, żeby były zdrowe i ani od deszczów nie zgniły ani od mrozów nie zmarzły.

Owóż trafia się między wami najczęściej, że zasypujecie ziemniaczki do dołów, co jak świat światem nigdy nie jest dobrem, a przeciwnie, bardzo szkodliwem być musi: bo żaden dół, choćby na górze, nie będzie ci taki suchy, żeby tam wilgoć i woda nie podeszła. A skoro tylko woda podchodzi, a do tego i luftów nie ma, któremiby powietrze dolatywało, a para z ziemniaków uciekała, to muszą ci one zacząć gnić po-

woli; a jak już gnić zaczną, ho, ho, to już trudna sprawa; nie pomoże święty Boże, zepsuje ci wszystko do imienia.

Najlepsze ze wszystkich schowków są piwnice suche, widne i wietrzne; ale że to u was mili gospodarze rzadko się trafia, więc nie ma też o czem mówić. Lepiej będzie odrazu opowiedzieć, jak się ziemniaki w kopce zesypują i jakie powinny być te kopce.

Otoż kopce są dwojakie: albo mniejsze okrągłe, albo większe podłużne. Podłużne są lepsze, bo je możesz podług ilości ziemniaków jak ci się podoba urządzić: na 3 lub 4 łokcie szerokości, a długość wedle woli; a jak przyjdzie ziemniaki dostawać, to możesz od jednego końca rozpocząwszy potrosze wyjmować, i napowrót zakładać, podczas gdy przy okrągłych naraz tylko całą ilość kartofli wyjąć można.

Chcąc taki kopiec urządzić, trzeba najprzód wybrać ziemi do dwunastu cali głębokości, tak, żeby na pokrycie całego kopca wystarczała. Jeżeli jest grunt suchy i czysty, to odrazu sypać można; lepiej atoli podłożyć nieco równej słomy z okłotów, którą się przynajmniej do połowy po za krawędź wykopanego dołku wysuwa; te wystające końce możesz tymczasem, gdy ziemniaki sypać wypadnie, deskami poprzyciskać, a potem usypawszy już ziemniaki coraz wyżej ku górze, zdejmujesz deski, podnosisz owe końce słomy, okrywając kopiec, który też i z góry słomą jak daszkiem obłożyć należy. Poczem obrzucasz cały wykopaną ziemią; gniotąc z lekka łopatą; a dajesz na to baczność że skoro przyjdą mrozy, to drugie tyle ziemi przywieść i dopiero nią po drugi raz kopiec obrzucać trzeba.

Jeźli wykopiesz ziemniaki przy suchej i ciepłej pogodzie, a nie ma na nich prawie żadnej ziemi, to pamiętaj nie sypać je wielką gromadą do piwnicy, zwłaszcza jeźli jeszcze na dworze wciąż ciepło; bo gdy przytem w lochu przeciągu powietrza nie ma, a niektóre ze ziemniaków trochę poranione i wielką leżą kupą, to ci pewnie zgnilizna i zepsucie niezadługo się w nie wkradnie.

Na to samo trzeba mieć baczność przy sypaniu ziemniaków w kopce. Owóż należy w kopcach od góry jeden lub kilka otworów zostawić, ale tak z wierzchu słomą zakrytych, coby tylko

niemi powietrze sobie hulało, a deszcz nie zacinał. Za najbliższym mrozem zatyka się te lufty, otwierając je znowu, gdy ciepła odwilż nastąpi.

Niech Bóg broni sypać wraz ze zdrowemi zmarznięte ziemniaki; kilka takich może ci cały kopiec zepsuć. Lepiej też gdy przypadkiem kopanie ziemniaków za długo w jesień się przeciągnie, kiedy już przymrozki nad ranem się trafiają, aby te przymrozki cierpliwie przeczekać, i w ciepłym czasie kopać; lub też co najlepiej, pospieszyć się z kopaniem.

Oto są główne potrzeby zdrowego przezimowania ziemniaków. Przeczytajcież więc sobie uważnie i róbcie jak napisano, a pewnie wam to na dobre wyjdzie.

Dziady a żebraki.

Wieleć to my cierpieli: piękną i szeroką Polskę naszą napadali nieprzyjaciele; łupili ją, zalewali krwią i pożarami Moskale, Niemcy, Tatarzy i Turcy, a choć już poszli sobie szablami polskiemi wypłoszeni, to za nimi wlokły się różne klęski, morowe powietrze i głód: morowe powietrze z trupów niegrzebanych, a głód dlatego, że pola leżały niezasiane, a i rąk nie stawało do pracy. Zsyłał Pan Bóg na doświadczenie cierpliwości naszej chrześciańskiej okropne posuchy, straszne powodzie, tłumy szarańczy — więc znowu bywał głód, a w skutek głodu pomory straszne.

A przecież po takich srogich klęskach kraj się jakoś podnosił niebawem, przychylił Ojciec w niebiesiech lica swego — i tak gdzieś ziemia święta jakby cudem zakwitła, dawała plon bogaty — i wsie jak ule pełne ludu pracowitego; i mając ojczyznę swoją drogą całą, naród śpiewał wesolutko i pracował dla siebie i swoich i na chwałę Boga.

Ale nie bywało w naszej pięknej i szerokiej Polsce, dopóki w zamku krakowskim lub sławnej Warszawie na tronach siedzieli monarchowie królowie polscy — nie bywało, aby stary człowiek tułał się bez przytułku i chleba, aby dzieci marły pod płotami z głodu. Od wsi do wsi chodzili dziady i dawniej — ale żebraków nie było nigdy jak Korona polska stała.

Nie jednoć mi o tem prawił mój dziadek nieboszczyk; wi-

dział on wprawdzie jeszcze króla polskiego na tronie, ale z owych złotych polskich czasów już wtedy były tylko ślady i pamięć żywa, jakby o tem co się wczoraj działo. Bo już za tego ostatniego króla zagospodarowali się w kraju Moskale — toć już wam i mówić nie trzeba, jak się dziać musiało. Moskale napadali dniami i nocami dwory, wsie i miasteczka, rabowali, palili, porywali uczciwe niewiasty i dziewki, a co najokropniej bolało, to że nie przepuszczali nawet ołtarzom świętym. Toż to moi ludzie, z kościołów dlatego, że to kościół katolicki a nie szyzmatycki, robili stajnie dla koni i karczmy dla siebie; w komżach i ornatach święconych robili najsprośniejsze rzeczy; komunją, ciało Pańskie, wyrzuciwszy i oplwawszy, pili z kielichów wódkę. Ach aby wszystko opisać, potrzeba ksiąg ogromnych

Otóż to od owego czasu zjawili się w Polsce żebracy, jak królów polskich niestało.

Trafiało się jak zawsze tak i dawniej za polskich króli, że została sierotka bez rodziny; więc ją pan zabierał do siebie, albo oddał pod opiekę całej gromady. Nie zaznała wprawdzie sierota co to przytulić się do rodnej matki, do ojca — ale wzrosła zdrowo i wychowanie dostała lepsze nieraz, niżby w rodzicielskiej chacie. A jak dorosła — czy to chłopiec czy dziewucha — to i u ludzi wnet znalazła miejsce, i dostawała męża czy żonę, i chatę własną, ta i rodzinę — bo i miłość była, i rąk było potrzeba, gdyż wtedy jakoś i ziemia święta więcej rodziła.

A zdarzyło się, że staruszek czy staruszka zostali sami, bez rodziny, bez synów i wnuków, i siły odmawiały posłuszeństwa rękom — toć się udał pod dach kościoła, i służąc Bogu przy dzwonnicy, przy ołtarzu, w zakrystyi, w plebanii, dożywał reszty dni pracowitego żywota.

Starcy bez rodziny i sieroty nie tułały się po obcych zagrodach, nie ginęły pod cudzemi płotami. Jak powiedziałem, *żebraków,* t. j. szukających chleba i przytułku z nędzy, nie było za naszych starych czasów.

Ale byli *dziady* — i to dwojakiego rodzaju:

Gospodarz, spracowany, znękany wiekiem, oddawał rolę i chatę i obowiązek pomagania dziedzicowi swemu, który bronił kraju i kmiotków swoich od Turków, Tatarów i innych nieprzy-

jaciół — bo rekrutacyi za dawnych polskich czasów nie było, i pan za poddanych swoich służył w wojsku — otóż *gospodarz na starość*, kiedy już praca rąk jego dla kraju i rodziny nie wiele przydać się mogła, myślał o zbawieniu duszy swojej, pożegnał się więc z swoją rodziną, z swoją gromadą i dworem, zapuszczał brodę poważną, brał kij do ręki, torbę przewieszał przez plecy — i szedł w ten szeroki kraj polski, sięgający od morza do morza, na odwidziny wszystkich sławniejszych miejsc świętych, które gęsto rozsiane są po Małej i Wielkiej Polsce, po Rusi i Litwie. Tam się modlił za siebie, za swoich, za pana, i za droższą nad wszystko ojczyznę. Nie turbowały go złe gościńce, nie frasował się czem usta posili, gdzie pod noc głowę złoży. Bo jak ta Polska wielką była, tak wszyscy jej mieszkańcy to jak jednej matki dziatwa; bo choć Mazur, Rusin i Litwin niby każdy ma odmienną swoją mowę, ale jako dzieci jednej matki, jednej ojczyzny, której królową jest sama Panna Przenajświętsza — wszędzie znachodził przyjęcie jak u krewniaka na kiermaszu lub praźniku, wszędzie takiego dziada witano z radością i uszanowaniem, a dzieci i dorośli za wielkie poczytywali sobie szczęście, gdy taki starzec dziad ich głowy pobłogosławił; i co najlepszego miała komora, co najmiększego i najcieplejszego pościel, wszystkiem częstowano dziada i jeszcze na drogę zaopatrywano, jako pielgrzyma świętego, jako gościa z dalekiej ale rodzinnej dla wszystkich strony.

Tak więc szedł staruszek od Częstochowy, aż do Wilna i Kijowa, i wracał aż kiedy już przeczuwał, że niezadługo Bóg go po pracy ziemskiej powoła na odpoczynek do siebie. Wtedy wracał do swoich, aby jeszcze po raz ostatni obaczyć drogie osoby, aby pod swoim kościółkiem złożyć kości, aby i nad mogiłą jego wiało to powietrze słodkie, którem odetchnął w pierwszej godzinie żywota swego.

I były znowu *rodziny dziadowskie:* dziad i pradziad, syn i wnuk, babka i córka — wszystko było dziadem z rodu, i nie siedziało na roli. Rodziny takie dziadowskie posiadały nieraz znaczne mienie — a mimo to coś ich goniło po całym świecie polskim, ta nieraz nawet do Moskwy zaglądali. Nie lenistwo jednak było powodem ich dziadostwa. Oni byli śpiewakami, lirni-

kami, nawet lekarzami, gazetami roznoszącemi po jednym końcu Polski to, co się na drugim działo lub dzieje. Oni zaznajamiali ze sobą pieśnią lub powieścią najoddaleńsze plemiona, ziemię Polską zaludniające; przechowywali i rozszerzali najpiękniejszy płód pracy umysłowej ludu, pieśni ludowe.

Tak więc i te dziady nie z nędzy, nie z lenistwa żyli chlebem z rąk łaskawych dawanym, ale byli poniekąd nawet potrzebni w kraju, i płacili za jałmużnę pieśnią lub radą.

Oba rodzaje dziadów, t. j. staruszków co po latach pracy chwytali za kij i torbę, dla odwidzania miejsc świętych, i rodzin dziadowskich, co z pieśniami, powieściami i radami lekarskiemi chodziły po świecie polskim — oba te rodzaje dziadów znikły prawie bez śladu. Dziadów u nas już nie ma, ale są niestety za to żebraki.

Daj Boże, aby się wróciły te czasy, w których u nas nie było żebraków, t. j. żebrzących z nędzy lub lenistwa.

R. z W.

RÓŻNOŚCI.

Smutna historya z ukrytem srebrem. Piszą z poza Wisły, że pewien Niemiec tamże zamieszkały, kutwa, jak to zwykle Niemcy, zbierał sobie niewiedzieć czystym czy nieczystym zarobkiem srebrne talarki i ruble i składał to porządnie w garnku. Owoż naskładawszy tak pełen garnek pomyślał sobie:

— Hej, trzebaby to gdzie schować przed ludźmi, bo gotowi zwędzić, albo się wyda i roztrwoni niewiedzieć na co!

I byłoby nie źle, gdyby to tak z czystej oszczędności; ale suche Niemczysko niedojadło, niedospało, od ust sobie odejmowało, byle tylko mieć garnuszek białych jak lustro pieniędzy. Ni to dzieciom ni to krewnym, jeno tak, ot dla siebie. Skoro mu więc przyszło na myśl chowanie, tak też zaraz w nocy wybrał się do stodoły, w klepisku wybrał trochę ziemi i tam zakopał garnek z srebrem, i ubił dobrze napowrót.

— No jużem spokojny! — rzekł do siebie ciągnąc szlafmycę na uszy.

Aleć mówią ludzie, że *jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści!* a ono pokazało się to na owym Niemcu i na jego srebrze. Bo skoro tylko usnął, aż tu burza mocna nadchodzi; Niemiec się budzi, a tu ci się łyska i grzmi na niebie, aż ciarki plecami chodzą. Więc też i mój Niemiec aż się kuli w pierzynach i głowę gdzieś pcha pod poduszkę... gdy nagle trzasło mu w uszach jak z armaty. Zerwało się biedne Niemczysko na równe nogi, patrzy, a tu stodoła w płomieniach. Oniemiały z przerażenia wybiega, budzi, gasi, ale gdzie tam: pożar okropny pali stodołę i domostwo, jeno co graty i bydło ocalało.

No i zgadnijcież: co było powodem owego pożaru? Owoż nic innego jeno talarki i ruble. Bo skoro na drugi dzień ledwo żywy Niemiec grzebał po boisku, chcąc wyciągnąć garnek, wyciągnął tylko sztukę stopionego srebra, za co mu się ledwie połowa pieniędzy wróciła. Że nie umiał darów Boskich skromnie i poczciwie pożytkować, jeno jak kruk chował świecidła do nory, więc go też Pan Bóg ukarał; gdyż jak wiecie, każdy metal, żelazo, miedź, złoto, a więc i srebro przyciąga łatwo pioruny do siebie; toż sobie i owe talarki piorunek przyciągnęły!

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.